ROK X. WARSZAWA, 15 LISTOPADA 1921 R. ZESZYT XIX.

PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

Najnowsza literatura polska.

(1917—1921)

II

PISMA I PROGRAMY.

Współzawodnictwo w nowatorstwie kierunków literackich podjęły niemal równocześnie trzy „stolice": w Warszawie buńczuczni „Pikadorczycy", w Poznaniu grupa „Zdroju", w Krakowie zaś najmniej liczna drużyna formistów. Ciężką atmosferę okupowanego grodu Syreny rozpogodził kabaret, coś na wzór jamy Michalikowej czy Cafe poetów w Moskwie, a lenistwo i bigoterję w Księstwie do żywego poruszył „bluźnierczy" organ ekspesjonistów. Młodzież wzięła sztandar poezji i rozwinęła śmiało na wiatr, który nie wiadomo czy burzy jeszcze przynieść nie mógł. Odwaga jednak sprzyjała w tym razie argonautom, co się wybrali w podróż po złote runo. Z niczego prawie urosło w Warszawie pismo młodzieży akademickiej „Pro arte et studio" — przemienione później na „Pro arte" i tu poczęli zdobywać ostrogi literackie najmłodsi. Ci co w „Picadorze", przy reklamie zapożyczonej z rekwizytorni Marinettiego imię poetyckie sobie zjednali, zasiedli do pracy poważniejszej, spróbowali czy sił im stanie na przetopienie lotnych słów w spiż i metal szlachetny. Prób podobnych wśród studentów Uniwersytetu było już i przedtem sporo, choćby tu tylko wspomnieć „Tekę" i „Zarzewie" lwowskie — ale żadna z nich nie cieszyła się takiem powodzeniem. Wyjątkowo bowiem zebrało się teraz i ludzi inicjatywy więcej i rzecz bardziej nowocześnie postawiono. Re-

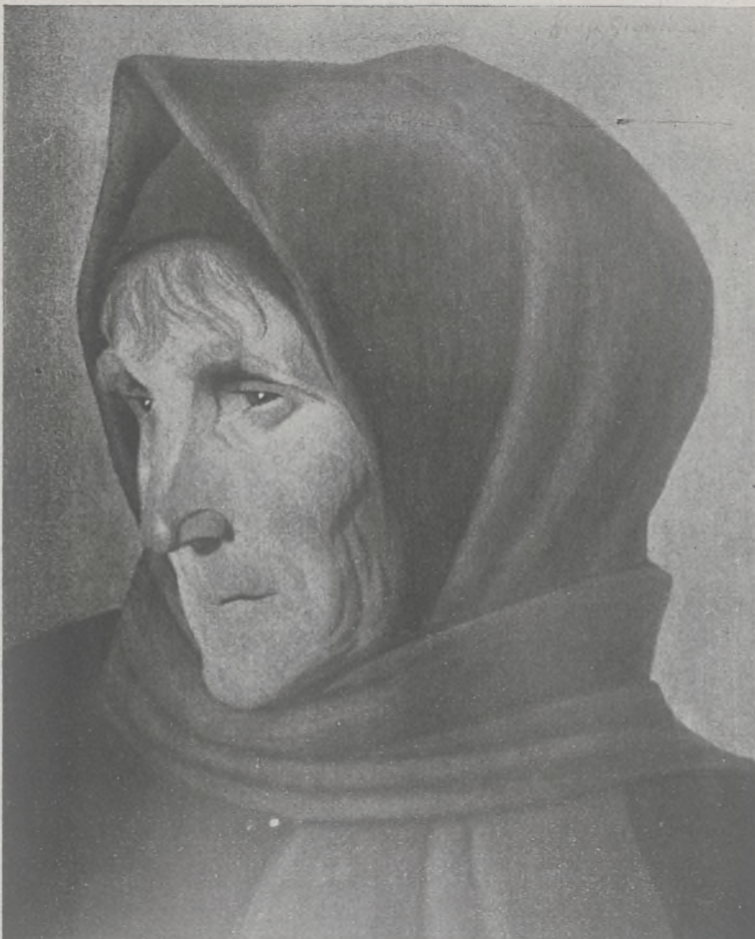
dakcja może nie tyle była doskonała co administracja, która dokazała na polskie warunki rzeczy niebywałej: zdobyła mianowicie do każdego numeru kilka kolumn ogłoszeń, co zapewniało byt nowej poetyckiej placówce. I tak, kiedy Uniwersytet pod jednym dachem jednoczył różne indywidualności i temperamenty — pismo na jego gruncie wyrosłe wszystkim użyczyło gościny. To podwójne koleżeństwo, przypadkowe zupełnie, przetrwać miało atoli dłużej i kiedy młodzi wyszli poza mury uczelni, uświęcili związek przyjaźni założeniem organu poetyckiego na większą skalę p. t. „Skamander".

I zdawać by się mogło, że właściwie nic się nie zmieniło w linji od „Picadora" aż po „Skamander". Bo i przestrzeń czasu dzieliła to mała i ludzie ci sami do pracy stanęli. Tuwim, Lechoń, Słonimski, Wierzyński, Horzyca i Iwaszkiewicz, znani już byli ze swych występów. Ale o ile za czasów „Picadorskich" nikt talentu tych młodych nie mierzył skalą poezji, w piśmie zaś uniwersyteckiem nie żądał skonsolidowanych indywidualności — o tyle „Skamander", jako organ najnowszej poezji, musiał zrobić na wstępie przegląd swych sił i dać przedewszystkiem sobie, a później i czytelnikom odpowiedź na dwa pytania: czy wszyscy poeci, o których opiera się pismo, mają te same poglądy na sztukę i tymi samemi drogami idą do określonych celów — oraz co nowego chce wprowadzić do literatury ta grupa poetów, którą pismo reprezentuje.

Jak ten przegląd wypadł, nie chcemy sądzić z góry. Dość, że na „Picadora" nie odwołano się, a tem mniej nie nawiązano do „Pro arte". Na programowym wieczorze, który odbył się 6 grudnia 1919 roku, Jan Lechoń witał zgromadzonych imieniem *nowego* zupełnie bractwa, które połączyło różnych ludzi „prawem pewnego minimum talentu i duchowego pokrewieństwa" od czego, jednak, — jak sam mówca zaznaczył — „szalenie jeszcze daleko do programu i formułek estetycznych". Określenie to wskazuje, iż Skamandrowcy, przechodząc w komplecie z redakcji „Pro arte", przenieśli ze sobą tylko kolegjalność towarzyską.

Ten stan rzeczy ujawnił się jeszcze wybitniej w słowie wstępnem redakcji, poprzedzającem pierwszy numer „Skamandra".

„Nie występujemy z programem, — czytamy tam — gdyż



Studjum. H. Grombecki.

programy są zawsze spojrzeniem wstecz, są dzieleniem nieobliczalnego przez znane... Wyznamy zaś coś znacznie ważniejszego: skąd wychodzimy i jaka jest wiara, która wiedzie nas przez Kolumbowe morza... Wierzymy głęboko w dzień dzisiejszy, którego dziećmi wszyscy się czujemy... Nie chcemy przeoczać zła, ale miłość nasza jest nad wszelkie zło silniejsza: dlatego kochamy dzień dzisiejszy niezachwianą pierwszą miłością, jesteśmy i chcemy być jego dziećmi... Nazbyt silnie związaniśmy z okrwawionym globem, aby móc odeń ulecieć w kraj „pięknej ułudy" i nazbyt silnie wierzymy, iż Królestwo ducha jest królestwem z tego świata, że nim będzie i być musi. Dla tej miłości gotowiśmy nawet nie przerazić się zarzutu, że nie dajemy nic nowego i powtórzyć stary okrzyk o bryle świata, którą nowemi tory mają pchnąć nasze ramiona. Jeśli jest to banalnością, chcemy być banalni, lecz nie zdradzimy serc dla nowinek. Największą nowiną jest cały dzisiejszy świat, jest życie współczesne, jesteśmy my sami; kto dla siebie przestał być nowiną, ten jest upiorem pomiędzy żywymi, choćby z krzykiem życie udawał. Lecz raz jeszcze rzucając dawne hasła, świadomi jesteśmy, żeśmy o sto lat starsi, że słowa nasze są inne, choć brzmienie to samo, że nadeszły inne czasy, które w starym symbolu ujrzeć pragną i muszą nową treść... Wierzymy w dzień dzisiejszy, w jego wartość, osobliwość i powagę, wierzymy we wstającą nową sztukę (?), która będzie krzykiem tego pokolenia a świadectwem o nas przed potomnymi, żeśmy naprawdę byli. Wierzymy niezachwianie w wieczność naszej teraźniejszości, w nieskończoność skończonej duszy ludzkiej, w nieprzemijanie przelotnych słów, w niezniszczalność kruchych kształtów. W tej wierze chcemy być słowem dnia dzisiejszego, chcemy tworzyć i budzić zachwyt nowoczesnego człowieka, chcemy w dziele naszym zawrzeć świadomą lub nieświadomą siebie jego i naszą miłość, chcemy śpiewać nowy świat i uczyć go pieśni o sobie. Chcemy raz jeszcze, ale raz jedyny ukazać wiośniany oddech poranków i płynny smutek wieczorów, dziki marsz żelaznych pociągów i rezedowy zapach księżycowych świateł, rozwichrzony zgiełk wielkomiejskiej ulicy i mięki spokój białych domków, przysłoniętych sadami, —

wszystko to wchłonąć w siebie i mówić słowem prostem, a szerokiem jak rozwarcie matczynych ramion. Chcemy być poetami dnia dzisiejszego i w tem nasza wiara i cały nasz program... Wiemy, że wielkość sztuki ujawnia się nie w tematach ale w kształtach, jakiemi się wyraża, w tej przenajlżejszej i nieuchwytnej grze barw i słów, która surowe przeżycie zmienia w dzieło sztuki. W tej grze, w wysiłku kryjącym się po za wietrznemi jej formami, chcemy być uczciwymi pracownikami... Wierzymy niezachwianie w świętość dobrego rymu, w boskie pochodzenie rytmu, w objawienie urodzonych w ekstazie obrazów i wykutych w pracy kształtów..."

W programie tym uderza przedewszystkiem rozmyślne podkreślanie dzisiejszości, która sztukę poetycką bez względu na jej nowość ma współczesną uczynić. Jest to tem konieczniejsze, że sami autorzy słowa wstępnego, nie dając wytycznych, a przynajmniej celu sztuki, której chcą służyć, już przygotowani są na zarzut, że „nie dają nic nowego". Po tem jednak przyznaniu się, jakby dla salwowania się w myśl haseł tradycjonalizmu szybko oświadczają, iż „nie zdradzą serc dla nowinek". Ta ostrożność zaś pociąga za sobą jako konsekwencję połączenie dawniejszej i nowszej ideologji całego społeczeństwa. A więc „Skamander" ma okazać te same sentymentalne nastroje poranków i wieczorów, które już znano— a które bardzo się jeszcze nie nawykłym do zbytniego nowatorstwa czytelnikom podobają—a ponadto dla nowoczesnych ludzi posiada w zapasie „dziki marsz żelaznych lokomotyw" i „rozwichrzony zgiełk wielkomiejskiej ulicy". Gorzej jest, że przyrzeka okazać to wszystko „raz jedyny" choć niebywały. Rekwizytornię bowiem tego rodzaju i przy takiem zastrzeżeniu można wyczerpać bardzo szybko i trzebaby albo odsłonić nowe perspektywy swej twórczości—albo też ustąpić z pola. Bezwzględnie jednak z chwałą, albowiem poeci, którzy za zasadę przyjęli kult formy, nawiązując tem nić tradycji z poezją minionego okresu, a przeciwstawiając się wszelkim reformatorskim w tym względzie zapędom futuryzmu—jako uczciwi pracownicy na pełne uznanie zasłużyć muszą.

Jakkolwiek analiza słowa wstępnego pierwszego numeru Skamandra do takich wyników doprowadzić musi—

przecie wynurzeń tych nie można w całości potraktować po macoszemu, gdyż przynoszą one jedno śmiałe a obowiązujące oświadczenie poetów, którzy wszem wobec mówią: „Największą nowiną jesteśmy my sami“. Te też słowa należy uważać za klucz, otwierający sezam twórczy pisarzy gromadzących się wokół miesięcznika. I dlatego przy badaniu działalności Skamandrytów, nie powinno powoływać się na cały tok myśli zawarty w enuncjacyi redakcji, ani ich samych mierzyć miarą tych zwierzeń „o dniu dzisiejszym“ „wierze w królestwo ducha“ etc. Oni przerośli to utarte zwyczajem „zagajenie“, które jest co najwyżej dokumentem tylko zupełnej samodzielności jednostek: Nie chcąc związać się wspólnym programem—woleli zacząć od nic nie mówiącej na przyszłość „inwokacji“.

Z innego atoli stanowiska osądził tę rzecz Karol Irzykowski, zarzucając „Skamandrowi“ „programofobię”. Dla niego pismo reprezentuje grupę, a to obowiązuje do ogłoszenia wyraźnego programu. Wystąpienie krytyka bardzo ścisłego i dążącego zawsze do ujmowania wszystkich zagadnień ze strony ich nurtu wewnętrznego, zmusiło redakcję do wyjaśnień o tyle szczęśliwych, że pozornie wyeksplikowały one, iż ogłoszenie wyznania wiary jest zbędne. „Redakcja Skamandra—powiedziano tam—nie wytknęła sobie programu literackiego tylko dlatego, że ustalenie go w tej chwili jest artystycznym absurdem... Programów zbiorowych wogóle niema, „są tylko wyznania, określenia i słowa poszczególnych pisarzy, reprezentujących siebie samych.“ — „Objektywne ujęcia pewnych zjawisk literackich są zawsze i wyłącznie medotycznem uporządkowaniem już zdobytych wartości, uporządkowaniem, stworzonem raczej dla orjentacji w materjale istniejącym, niż dla kreacji tego materjału.

Na słowa te moglibyśmy się zgodzić bez zastrzeżeń, gdyby autorzy z „Skamandra” występowali w tem piśmie po raz pierwszy, gdyby przedtem nie tworzyli wcale. Ponieważ jednak każdy z nich miał już za sobą ciekawy dorobek artystyczny, przeto na podstawie analizy tego dorobku, na podstawie—jak to pięknie redakcja w polemice z Irzykowskim powiedziała—„metodycznego uporządkowania już zdobytych wartości”—o ile te wartości były u wszystkich pisarzy

te same—można było dać „objektywne ujęcie nowych, a wprowadzonych przez młodych poetów zjawisk literackich.”—Jeśli tego nie uczyniono—to musiały być ku temu pewne powody. Jakie — redakcja się nie przyznała, ale są one aż nazbyt widoczne: żaden z tych twórców nie miał cech wspólnych, a większość pełnej świadomości dróg własnych.

„Skamander” zatem nie mógł być pismem reprezentującem pewien kierunek literacki, ale organem skupiającym poetów różnych odcieni.

Mowa Lechonia o łączności w imię „pewnego minimum talentu“—była najlepszą charakterystyką jego kolegów.

Tak więc wszystkie oświadczenia „Skamandra” rozważone bliżej, przekonują nas, że poeci warszawscy nie nadali poezji jednolitej linji, a tem samem o odnowieniu i odświeżeniu literatury nowym prądem mowy być nie może. Nie jest to ich winą, a „programofobia” była nietylko nieuświadomieniem sobie dróg, jak to przypuszczał Irzykowski, ale także koniecznością, wynikłą z ich różnorodności.

Redakcja pisma atoli, właśnie w myśl twierdzenia, że po pewnym okresie na podstawie wejrzenia wstecz można dać charakterystykę twórczości całej grupy — ogłosiła z czasem bliższy program, uzupełnienie niejako dawnego wyznania. Jakoż dnia 1 stycznia 1921 r. na czele Nr. 4-go „Skamandra”, taki znalazł się ustęp:

„Idea pracy jest tem hasłem, z którem i naród polski i polska sztuka, wejdą na szeroki gościniec, zajęty przez wielkie narody świata, na drogę, z której ciągle spycha nas walczący rozpaczliwie o swój przywilej świat obskurantyzmu.

Nie możemy znaleźć się po za obrębem ścierających się światopoglądów i obozów. Chociaż nie bierzemy bezpośredniego udziału w życiu i walkach politycznych, stajemy w szeregach rewolucyjnej Polski, walczącej o wyzwolenie pracy i powszechną w ojczyźnie wolność.

Młoda poezja i polska myśl twórcza przesyłają braterskie pozdrowienie wszystkim polskim robotnikom, którzy walczą o te same, co i my — wielkie, niezniszczalne prawa człowieka.“

Nie ferując na podstawie tego aktu oskarżenia przeciw młodym — jak to uczynił St. Pieńkowski — stwierdzić tylko należy, iż Skamandrowcy rozszerzyli w ten sposób swoje po-

jęcie o sztuce, której wielkość widzieli uprzednio „nie w tematach, ale w kształtach, jakimi się ona wyraża". Czy jednak razem z tem „robotniczem pozdrowieniem" nastąpiło także uspołecznienie poezji — zobaczymy później.

Na djametralnie odmiennem stanowisku stanęli formiści krakowscy [1]). Dla nich „świętość dobrego rymu i boskie pochodzenie rytmu" nie istnieje, nie zarzekają się też „zdradzania serc dla nowinek". Przeciwnie, hołdując wszelkiemu nowatorstwu, każą „litować się nad nieudolnością obrońców starego porządku". „Niezdolność bowiem zrozumienia utworu... nie może być brana za miarę jego wartości, świadczy natomiast wymownie o nieudolności lub lenistwie odnośnego mózgu." Zasadą zaś tworzenia ma być nie „popisywanie się sztuką", ale obywanie się bez sztucznej sztuki" [2]). To zwie się formizmem, „który jest próbą stworzenia nowego *stylu* na podstawie pojęć realizmu i piękna, jakie rozwinęły się z doświadczeń kubistów, futurystów i ekspresjonistów". [3])

W praktyce zaś przedstawia się to następująco:

Łoże mucha dzwoni okno Strach || Ciężkie stąpanie nóg Płacz || Nowy transport nadchodzi Ruch || Przekleństwo szepty Mrok || Miękkie dłonie na twarzy Blask || Szum lasu ojciec matka On || Hura hura spiżowy Krzyk || Pocałunek biały miłosny Dreszcz || Napój z kielicha wiązienny Sen || [4])

Wszystkie te jednak kierunki, a więc futuryzm, dadaizm, formizm i parnasizm (o który posądza się poetów „Skamandra"), potępić miał z czasem trzeci organ najmłodszych: „Zdrój". Powstał on jeszcze w r. 1917 pod wpływem ekspresjonizmu niemieckiego, ale długo nie mógł odnaleźć się wśród pogmatwania pojęć, a braku skoordynowanego materjału literackiego. To też pierwsze roczniki „Zdroju" przedstawiają przedziwną mieszaninę najróżnorodniejszych utworów. Od Rabin-

---

[1]) Grupa ta złożona z Tytusa Czyżewskiego (później wyznawcy futuryzmu), Leona Chwistka, Jana Hryńkowskiego i Jerzego Tomą, oscylując między malarstwem i poezją—nie wywarła niemal żadnego wpływu na litaraturę współczesną. Wspominam o niej jedynie dlatego, ponieważ przeciwstawił się jej „Zdrój" w swojem „credo". Dla jaśniejszego wytłumaczenia ideologji poznańskich ekspresjonistów jest ta wzmianka konieczna.

[2]) „Formiści" zeszyt 1, Październik 1919.

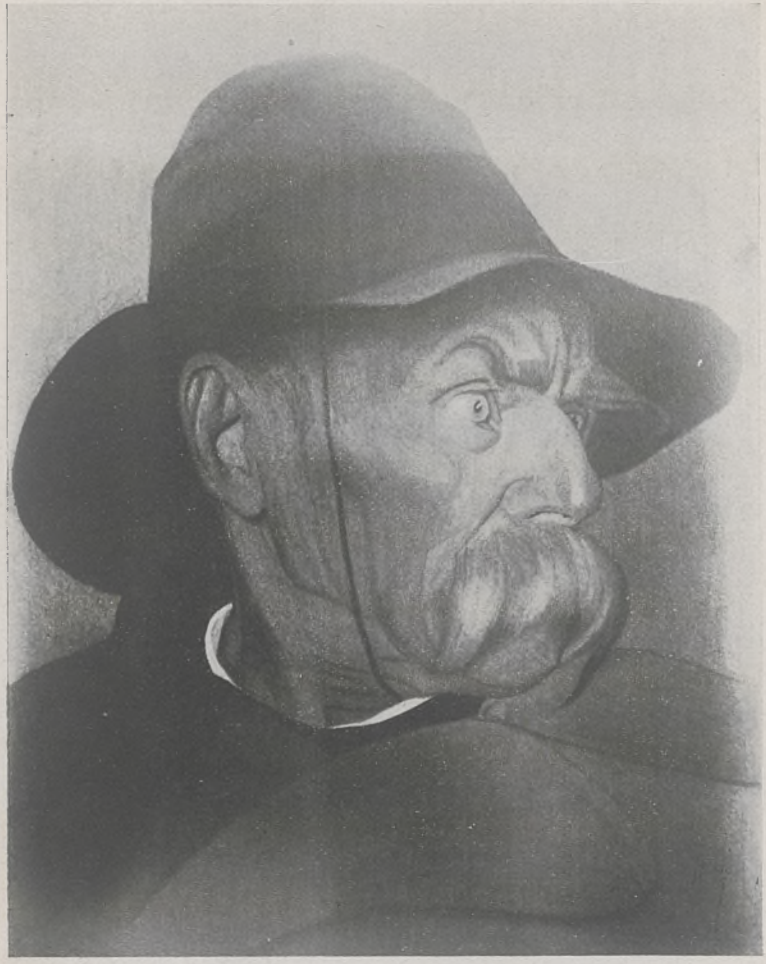
[3]) „Formiści"; wstępne uwagi L. Chwistka o formizmie w katalogu III wystawy.

[4]) W całym utworze niema ani jednego przecinka, ostatnie słowa każdego wiersza pisane dużą literą. Jestto istotnie wcale nie „sztuczna sztuka".

dranath Tagore do Claudela, od Rimbaude'a do Przybyszewskiego, od imitacji „Sturm'u“ i „Action“ niemieckiej do Rawity-Gawrońskiego wszystko tu można było znaleźć w najlepszej zgodzie obok młodych i najmłodszych pisarzy polskich, nie wyłączając przyszłych skamandrowców. „Zdrój“ był pismem, które szukało dróg i wszystkich przygarniało do siebie, aby niebawem jednych bez wdzięczności za zapełnianie kolumn, innych z powodu ich niewdzięczności za przyjętą gościnę bez ceremonji wyrzucić. I dobrze jeszcze, jeśli na pożegnanie nie nawymyślano, jak to zresztą w końcowych rubrykach organu tego stałym było zwyczajem. Dopiero w marcu 1920 r. nastąpiło przeobrażenie wewnętrzne redakcji i sformułowanie prawd wiary ekspresjonistycznej [1]). Kierunek ten w myśl wywodów redakcji, zawartych w najdłuższym z manifestów literackich lat ostatnich—„nie jest niczem absolutnie nowem, potąd niebywałem, oderwanem od podłoża przeszłości, nie znajdującem pokrewnych sobie analogij w tym lub owym kierunku, w którym dotychczas kroczyła sztuka. Nie jest nim przeto, ponieważ w świecie nie ma bezwzględnej nowości, podobnie, jak nie istnieje dla nas absolutna tożsamość... Ekspresjonizm jest dalszym ciągiem romantyzmu, to znaczy jest dążeniem, idącem w tym samym co Romantyzm kierunku, jeno że dalej, spełniając jego postulaty w sposób bardziej konsekwetny, a tem samem bardziej radykalny. „Czucie i wiara“ — powiada Mickiewicz w Romantyczności — silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko“. Czyli: to co się we mnie dzieje, czego dostrzec, usłyszeć, dotknąć się, żadnym zmysłem uchwycić nie mogę, co jedynie odczuwam, i w co wierzę, jest rzeczą ważniejszą, prawdziwszą, wznioślejszą, niż wszystkie objawy zewnętrznego, dotykalnego świata. Konsekwencją logiczną wywyższania duszy, wnętrznych, niepodpadających pod zmysły uczuć, rozmyślań, namiętności itd. ponad świat materjalnych kształtów jest wywyższenie prawdy ponad piękno... Musimy starać się... o ile możności nie kłamać, t. zn. nie przystosowywać, nie przykrawywać uczuć do reguł t. zw. piękna, ograniczającego wolny sposób wyrażania się, ale przystosowywać sposób wyrażania się do szukających wyrazu uczuć... Dla ekspresjonizmu jako prądu

---

[1]) „Zdrój”, rok 4, tom X, zeszyt 5—6 (og. zbioru 59—60), Marzec 1920.



Starzec. H. Grombecki.

metafizycznego zewnętrzność wobec wewnętrzności jest niczem. Przeto nader łatwo może z piękna w imię prawdy zrezygnować. Twórca (ekspresjonistyczny) neguje „świętą“ dotąd tradycję t. j. dotychczasowy podział na samoistne swą drogą kroczące wypowiedzi piękne i wypowiedzi mądre. Uznaje natomiast za jedyne kryterjum wierne pokrywanie się każdego momentu wypowiedzi z każdym momentem duszy...

„Nie chcemy być poetami — wyznają wreszcie „Zdrojowcy“ — patrzącymi na życie li-tylko przez pryzmat estetyzującej fantazji, która szuka tematów, nadających się do literatury, dla której temat ten jest pretekstem, forma zaś wycyzelowana zasłuchanego w dźwięk artysty alfą i omegą. Pragniemy być ludźmi, których porywa prąd dziejących się w rzeczywistości wypadków, którym ból sprawia ludzkość, staczająca się w objęcia hańby i rozwydrzenia, naród ujarzmiony, robotnik głodny, kobieta niewyzwolona. Pragniemy uczucia swe i myśli, wywołane widokiem dookolnych zdarzeń wypowiedzieć publicznie, a tak, aby znalazły oddźwięk jak najgłośniejszy i jak najwierniejsze echo...“

„Credo“ to podzielone na cztery części wydawało się jednak redakcji zbyt ciężkie, aby mogło znaleźć właśnie ów „oddźwięk najgłośniejszy“ i owo echo, na którem ekspresjonistom zależało. Dlatego też ułożono w siedmiu paragrafach następujące linje wytyczne kierunku:

„1. Chcemy Sztuki, nie opisującej zewnętrzne przejawy życiowe a za ich pośrednictwem doznania duszy człeczej, lecz wyrażającej przeżycia ludzkiej duszy bezpośrednio, od wnętrza.

2. Chcemy Piękna, nie polegającego na harmonji poszczególnych części zewnętznego układu (= formy) między sobą, lecz polegającego na harmonji zewnętrznego układu z tem, co w nim miało się wyrazić.

3. Chcemy, by dzieło wywierało wrażenie nie wskutek „jak” formy swojej, a bez względu na zamkniętą, lub zgoła nie zawartą w nim treść, lecz wskutek „jak“ wypowiadającej się treści, która wypływa z niej, niby forma postaci ludzkiej z działających we wnętrzu tej postaci sił, niby kształt kuli ziemskiej lub trójkąta z istoty tych przedmiotów, jako kula ziemska właśnie i właśnie jako trójkąt.

4. Chcemy wyrazić podświadome potąd, najistotniejsze

odcienia podkłady naszych uczuć, sprawiające, że tęsknota moja i mój żal inne są, niż tęsknota — twoja, lub żal trzeciego człowieka. Zarazem chcemy zatomizowane pierwiastki uczuć naszych sumować, pokazywać ich dzieje, ich rozwój, ich ruch: duszy ludzkiej odwiecznej wyrażać historję.

5. Chcemy przeto, by Sztuka była wyrazem Najwyższej w duszach ludzkich spoczywającej Prawdy, czyli wyrazem dążeń naszych ku zaświatom Boga, jako jedynemu ujściu wszystkich pragnień człecznych, ku królestwu Ducha, którego wizję apokaliptyczną wędrówek i doskonaleń ukazał nam Słowacki w Genezis i w Zborowskim i w Król-Duchu, ku jedynej możliwości uzdrowienia świata, nurzającego się w orgjach materjalistycznego światopoglądu: — w krwawych wojnach i w krwawych rewolucjach.

6. Przeciwstawiamy się przeto:

Neo-realizmowi Skamandra, chłonącego zewnętrzne przejawy życiowe, opisującego je, jak potąd czyniono, ulepszenia jeno i warjacje opisu wprowadzając.

Przeciwstawiamy się futuryzmowi, który opis przejawów życiowych XX wieku przejaskrawił, a który nie duszę człeczą, w zasadzie (w głębi) swej niezmienną i wieczystą śpiewa lecz maszynowy pęd cywilizacji i jego (ujemne) na powierzchni duszy naszej skutki.

Przeciwstawiamy się formizmowi, który nowego stylu, nowej formy jeno szuka, nie bacząc, że forma jeno z treści, że styl jeno z człowieka to znaczy z człowieczej duszy zrodzić się może.

7. Słyszeliście czemu przeczymy.

Słyszeliście ku czemu dążymy.

A teraz starajcie się nas zrozumieć, a przedewszystkiem — odczuć.

Nas — ekspresjonistów!"

STANISŁAW LAM.

O Miłości Danta i Beatrycze

strof trzy.

I

*Różami pachnie bajka o cudnej pani Twojej
Porankiem pachnie wczesnym w ogrodzie pełnym róż.*

*Co dnia się dzieje w słońcu, w ulewie złotych zdroi
I śpiewa swoje stanze falami modrych mórz...*

*Skroś mękę wieków przyszła z pełnemi łask rękami
Anielska i niezmienna, jak obcowanie dusz,—*

*W dnie klęski i żałoby pochyla się nad nami
Wonna bezcennem winem serc przenajświętszych kruż....*

II

*A wiodła cię—z oddali—skroś wszystkie piekieł kręgi,
W zamęcie Zbrodni Wieku—pochodnia twa i żar...*

*Na ustach rozkwitały ducha i serc przysięgi
I miłościwy uśmiech szczęścia je klamrą zwarł...*

*Skroś wszystkie dalsze kręgi powiodła cię za rękę,
Skroś wszystkie, smutne światy pokutujących mar,—*

*Różany uśmiech—bajka, zmienione w wielką mękę
Nad niepojętą bezdnią, odwiecznych ludzkich kar...*

III

*I oto weszła z tobą, w słoneczne raju wrota
Przejasna twoja Pani.—Legenda?—któż to wie...*

*I w Róży przenajświętszej siadła różano-złota,
Iżby skroś białe palce przesiewać dobre dnie.—*

*A wówczas zaśpiewały anielskie w tobie chóry,
O tym, któregoś marzył na jawie, w nocnym śnie,—*

*Iżbyś na grani wieków stał z bieli i purpury,
Niby Archanioł wiary—po wszystkie Bytu dnie...*

JULJUSZ WIRSKI.

URLOP.

(Dokończenie).

IV.

W starej karczmie klekotał jeszcze i dudniał pijacki śmiech i chichot rozwydrzony, gdy Tomek dogramolił się ciemną, zatęchłą sienią ku wyjściu. Chciał stąd uciekać, pędzić na kraj świata. Ale coś go przysiadło, zwaliło mu się okrutnym ciężarem na barki, omotało ramiona i piersi, obezwładniło ręce, powiązało nogi.

— Hej, cóżby to miało być — otrząsnął się ze zmory.

Wyszedł przed karczmę. Chwiejąc się i zataczając, dolazł do starego gościńca, którym miał iść — miał iść radośnie i wesoło — najpierw do miasteczka, a potem, jeszcze chwilę, do wsi, do swojej wsi rodzonej, do siwych ojców, do jednych oczu roześmianych miękko i przytulnie...

Wyszedł już za obejście karczmiska, w szczere, faliste pola. Od tych pól dął rzeźki powiew przebudzenia. Wiatr wiosenny rozganiał zaduch przebytej w karczmie chwili, upajał nozdrza orzeźwiającą świeżyzną. Przydrożne wierzby i brzeziny rozprężały się do nowego życia. W niepozornych szczelinach, w malutkich rowkach, w suchych zwyczajnie łożyskach dawno pomarłych potoków bulkotała rozgłośnie, dzwoniła po skałkach i skakała, skakała naoślep — przeczysta, żywa, uroczna woda. Wiosna szła tędy. Rozwlokła się smugami ciepłych mgieł nad zagonami, rozdzwoniła się głosem wszelkiego stworzenia... I jęła wołać człowieka, by wyszedł orać i siać. Lecz człek tutejszy ogłuchł snać i oniemiał. Zrzadka jeno ukazywał się pług na roli — a i to zdawało się, jakoby nie człek, jeno sam ból szedł za nim, a smutek gorzki poganiał. Tomek wpatrywał się długo i uważnie w znajome strony. Jakoby nic się nie zmieniło, a przecie wszystko wydawało mu się inne—inne od wyniesionego stąd wspomnienia, dalekie od wypiastowanego w męce wojny wymarzenia. Coś tu się stało, czego pojąć nie mógł.

Na skręcie gościńca spotkał żołnierza, wlokącego się zwolna ku stacji.

— Pochwalony—powitał go wedle obyczaju.

— Na wieki wieków... Tomek, tyś to?...

I stanęło przed Tomkiem jakieś dziwaczne, skulone i zmięte do cna zawiniątko, nakryte wielką czapką austrjacką z pokracznie wysuniętym daszkiem, z pod którego wychylała się kończyna nosa i pomierzwione, żółte wąsięta.

— Nie poznajesz mnie? — zagulgotało zawiniątko.

— Dyć jakoż cię mam poznać, kiedy cię nie widać...

Żołnierz przerzucił czapkę na tył głowy i pokazał Tomkowi swe oblicze, jakby z deszczułki wystrugane.

— Kubuś... A cóż ty tu robisz?

— Z urlopu. Zaś na front.

— Z urlopu? Bój się Boga, cóż ta u nas nowego? Jakże ta? Ojcowie moi, Jadwisia?

— Thie... tak ta... Jak to ta we wsi.

— Nale przecie...

— Bieda, zgryz... Niema tam co siedzieć. Takie zagniecione wszystko, takie jakieś złe, łakome, zawistne... Cud Pana Boga, co się porobiło. Mnie baba wygnała przed czasem, dyćbym jeszcze ze trzy dni mógł pourlopować... Nale pono za mało daje rząd za mnie, a za dużo jeść mi się chciało... No i tak.

— Nie pleć, nie pleć — przerwał mu Tomek.

— Iście, prawdę ci gadam... Dyć sam spróbujesz...

— No to z Bogiem — podał mu rękę Tomek.

— Z Bogiem.

I Kubuś zsunął znów czapkę na nos i powolutku jął się posuwać ku stacji. Tomek obejrzał się za nim. I nagle opanowała go chęć ucieczki stąd, chęć powrotu ku swym kilku towarzyszom wojennym. Zdało mu się, że tam, przy nich, w lepkiej ziemiance, czy w wilgotnym rowie zostawił coś, zapomniał... Tak. Czuł, rozumiał, że nie idzie tym gościńcem cały, że widzi ludzi i rzeczy inaczej, jak stamtąd, inaczej, inaczej... Jakby przez czarną mgłę, jakby pół-okiem, pół-okiem wypalonem i zwietrzałem, jakby jakąś resztą swej istności...

— O Jezu! O Jezu Nazareński!

I jął się Tomek mocować z sobą, wszystką wolą przywoływać jasność patrzenia i pogodę widzenia, co potraciły się gdzieś, nim tu dojechał. Na siłę szedł ze samym sobą, by się odgiąć i rozprościć wnętrznie. I tak próbując się z sobą, dostrzegł się nie tym, co szedł w ciemniuśką noc przez czarny bór na urlop, nie tym, którego pochwyciła ręka jakiejś

pokrwawionej i zawszonej nędzy, ani nie tym, ku któremu wypełzły w zaduchu karczmy czyjeś oślizgłe, wyuzdane oczy, ale kimś zgoła innym, kimś niespodzianym, dobrze znanym w odległych marzeniach dzieciństwa... Ujrzał się druhem nad druhy, z dalekich wypraw idącym, z Janosikowych dali chwalebnych wracającym. Uboczami — górami, rzekami — dolinami idzie se jakby śpiewający. Wielki, groźny kłabuk chwieje się dumnie na jego głowie. Z pod kłabuka rozsypują mu się po szerokich i mocnych ramionach potężne strąki czarnych warkoczy. Na sprzączce, co mu spina na owłosionej piersi lnianą koszulę, ma znak, jemu ino wiadomy. Na szerokim pasie, pośród zdobień i parad, ma drugi znak, jemu ino wiadomy. Czerwone portki obcisłe zwiastują hyr jego śmigłych nóg.

Powiew dumy uniósł go jakby ponad ziemię i zanurzył w radości sławy, co z nim zaczęła iść...

Spojrzał dokoła. Było pusto. Nikt jeszcze nie wiedział, że on idzie, że wraca znów na chwilę. Na chwilę ino. Zajrzeć. Bo Janosik nie skończył dzieła. Musi wrócić ku niemu, by dalej „równać świat"... Spojrzał dokoła raz i drugi. Nikt nie dostrzegł go jeszcze. Tedy Tomek umyślił dać znać o swoim powrocie i zaśpiewał. Ale głos jego zamarł w niedalekim obrębie. Odpowiedziała mu jeno głusza pól i bulkot potoczków. Oracz nie odchylił się od pługa, siewca nie wstrzymał ręki w ruchu siejby, a nawet wrony nie podniosły głów. Zaczem chwyciła go chętka spróbować się z kimś na siłę — kto mocniejszy — lecz nikt nie stawił się jego śmiałości i mocy. Zmierzył się tedy z wysokim, gładkim palem telegraficznym, rozchwierutał go, uniósł nieco w górę i rzucił w przydrożny rów. W oszołomieniu siły, jak mocarz, jak jaki staroświecki, zgniewany bóg tutejszych stron, szedł rozjuszony i groźny i wyrywał słup za słupem i walił w rów, że jeno druty jęczały i syczały głośno. Nagle, gdy był już o kilka pacierzy od pierwszych chałup, pojawiły się na wszystkich, wybiegających z miasteczka drogach — wozy, wózki, bryczki, automobile, pełne wojska, pędzące gdzieś z zawrotną szybkością. Tomek usiadł przy drodze. Koło niego przejechało w najszybszym pędzie kilka automobilów, wypełnionych po brzegi oficerami. Zaczem pojawiła się konnica. U wylotu ulic miasteczka stłoczyły się w pokraczny węzeł i nie mogły ruszyć z miejsca zasobne tabory wojskowe i lękliwe furmanki



Staruszka. H. Grombecki.

chłopskie. Tomek otworzył usta szeroko. Ten nagły zamęt i rozgruch tak go pochłonął całkowicie, że nie dostrzegł, iż z tyłu, tuż za nim zatrzymał się nieduży oddział jazdy. Dopiero, gdy oficer najechał na niego i uderzył go trzcinką w ramię. Tomek odwrócił się.

— Gdzie nieprzyjaciel? W jakiej sile?

Nieprzyjaciel? Tomek nie widział nieprzyjaciela. Nie widział nic. Oddział rozsypał się na kilka małych patroli, które jęły dziwacznie skakać i uwijać się po rozmokłych zagonach. Z poza kęp i miedz — z różnych stron i w różnych kierunkach—podnosiły się, biegły i padały dziwnie sklecone tyraljery piechoty. W oddali, za większą kępą stała grupa oficerów z rozłożonemi mapami, z lornetami i rewolwerami u pasów. Tomek dziwował się temu wszystkiemu, jakby wyrwany z głębokiego snu. Nagle poczuł, że coś szarpie go za nogawicę. Spojrzał. U jego stóp leżał w pełnym rynsztunku wąsiaty, tęgi sierżant. Szeptem, przerażonym, błagalnym wzrokiem, wszystką swą dygocącą postacią pytał Tomka, czy „ich“ widział, w jakiej sile i czy wogóle można jeszcze ujść z życiem.

— Przecie front daleko — uspakajał go Tomek.

Podoficer dostrzegł zwalony słup telegraficzny i poplątane. zszarpane druty.

— A to?

— To ja—uśmiechnął się Tomek.

— Ty?

Błysk radości rozświetlił oczy podoficera. Zerwał się na równe nogi. Duch przedsiębiorczości, duch stanowczości, jednem słowem duch ofensywy wstąpił w niego z całym swym wojennym majestatem. Dał znak. Tyraljera wyrosła znów z poza miedz i kęp i zgęszczając się coraz bardziej, otaczała i zamykała Tomka zwartym pierścieniem ludzi i stali. Po osaczeniu go, podoficer odebrał mu pas i bagnet, poczem zadał mu kilka pytań.

— Imię i nazwisko?

— Tomasz Skałuba.

— Polak, Rusin, Czech, Chorwat?

— Katolik, w rzeczy Polak.

— I szpieg?

— Żołnierz z 20 regimentu infanterji. Na urlop idę.

— Żołnierz? Na urlop? Ładnieś zaczął ten urlop, ani słowa. Cały garnizon na nogach. Skuć go.

Ale nie było łańcuszków pod ręką. Więc otoczono go tylko jeszcze gęstszym pierścieniem.

— Nie wolno ci sięgnąć do kieszeni, nie wolno patrzeć przed siebie, ani w lewo, ani w prawo. Najlepiej patrz w ziemię—wydawał pan sierżant ostre polecenia, poczem rozesłał gońców na wszystkie strony z meldunkiem, iż: „Sprawa przerwania łączności ze światem wyjaśniona. Sprawca ujęty. Podaje się za żołnierza c. i k. 20 pp."

V.

Miasteczko było siedzibą szeregu dowództw tyłowych, nad któremi sprawował władzę zdziecinniały staruszek-generał. Trzęsąc się, jak osika, staruszek obchodził trzy razy dziennie rynek miasteczka i trzy razy dziennie kontrolował jak najsumienniej, czy jego podkomendni noszą przepisowo guziki, pasy, naszywki, gwiazdki i t. d. Naogół był rad ze swego garnizonu, który ku jego stale wzrastającemu zdziwieniu w jakiś nieuchwytny, cudowny niemal sposób powiększał się z każdym dniem. Wprawdzie był to, jak wszystkie księgi i meldunki wskazywały, garnizon chorych i ozdrowieńców, a więc dla frontu, mimo najlepszych chęci i niewątpliwego patrjotyzmu—nieprzydatny, jednak generał często oddawał się słodkim rojeniom o chwalebnym wymarszu przy dźwiękach marsza Radetzkyego, tam, na pola ognia, dymu i chwały, idzie na czele „swych chłopców" — w obliczu królów i cesarzy — zmierzy się z dziką bestją wschodu. Z tych marzeń czerpiąc otuchę, nawet obecnie, gdy chłopcy jego nosili już parciane pasy, drewniane guziki i drewniane podeszwy—staruszek lustrował ostro swą załogę i w tym celu w soboty i niedziele wychodził nawet poza rynek, przed bóżnicę żydowską i przed kościół. I oto właśnie w sobotę, z przed bóżnicy porwali go oficerowie jego sztabu, wsadzili do auta i wywieźli. Generał, jak zwykle, nic nie rozumiał. Dopiero gdzieś na dwudziestym kilometrze, w głuchej wsi, w dowództwie obozującej tam kadry artylerji, powiedziano mu uroczyście, że—stała się rzecz straszna: miasteczko straciło łączność ze światem, z wyższemi dowództwami, prawdopodobnie wybuchła rewolucja, lub też cały garnizon padł ofiarą jakiejś okrutnej,

wymyślnej zdrady. Generał zamyślił się i po chwili kazał wysłać, oczywiście drogą służbową, depeszę hołdowniczą do cesarza i wodza najwyższego.

— Właśnie telegraf zniszczony... W mieście popłoch...

Generał wyjął z za pasa rewolwer, obejrzał go dokładnie raz i drugi i w poczuciu zupełnej bezradności—oddał go na pamiątkę swemu adjutantowi. W tej chwili zapiszczał rzewnie polowy telefon artylerji. Adjutant kadry przyłożył słuchawkę do ucha i poprosił obecnych o ciszę.

— Tak. Kadra artylerji. Adjutant. U nas? Dotąd był spokój...

Oficerowie z generałem na czele otoczyli telefon półkolem.

— Adjutancie, adjutancie, kto to? Skąd? Kto mówi?

— Tss... proszę o spokój. Dowództwo garnizonu...

— Dowództwo garnizonu? Nowe?

— Nie. Proszę o spokój—błagał adjutant.—Nasz oficer...

— To dziwne...

— Tak. Pan generał z całym sztabem u nas. Co? Sprawa wyjaśniona? Sprawca ujęty? Afera! Żołnierz 20 pp.? Niesłychane! Siedem słupów! Warjat! Tak, słyszę, w tej chwili zamelduję? Jak? Zmowa? Spisek? No to pan ma nową robotę! Oddawna już? Servus! Skończyłem. Servus!

Sztab z generałem na czele nie czekał już na meldunek adjutanta kadry. Adjutant osobisty zręcznie przypiął generałowi rewolwer do pasa i—postanowiono, ze względu na powagę chwili, mimo prawdopodobnego niebezpieczeństwa, natychmiast wracać i to tą samą drogą.

Spokój i zimna krew dowództwa — rozumowano — wpłynie odrazu ostudzająco na spiskowców.

Gdy auta wjeżdżały na rynek miasteczka, sztabowcom przedstawił się niepokojący obraz. Wojsko zmięszało się z tłumem mieszczaństwa, chłopstwa, bab, dzieci i wyrostków. Stłoczone w dzikie węzły tabory wojskowe i furmanki chłopskie, wśród hałasu, gwizdów, okrzyków i śmiechu wydobywały się ku różnym uliczkom i wśród gromkiej wesołości tłumu rozjeżdżały się do swoich siedzib. Było widocznem, że stało się tu coś niesamowitego. Generał, za radą sztabu, rozkazał natychmiast rozpędzić ten tłum, nawet przy użyciu broni. W pół godziny rozlepiono na rogach ulic nowy rozkaz, przy-

pominający miasteczku surowe przepisy o stanie wojennym, o godzinach policyjnych, ruchu ulicznym i t. d.

Równocześnie generał otrzymał od dowódcy służby wywiadowczej pierwszy meldunek, który brzmiał dosłownie:

„W chwili, gdy dowództwo z wiadomych przyczyn opuściło miasto, oddział służby wywiadowczej łączył się telefonem polowym z rozłożonemi w okolicy jednostkami. Wszystkie telefony działały sprawnie. Meldunki były spokojne. Lecz popłoch, wzniecony najwidoczniej przez cywilną służbę urzędu telegraficznego, ogarnął już całe miasto i załogę. Na uspokajanie było zapóźno. Wobec tego także oddział służby wywiadowczej, po bezskutecznych próbach połączenia się ze sztabem dowództwa, spakował akta i autem udał się za nim. U wyjazdu z miasta auto zatrzymało się z powodu zupełnego zatarasowania drogi przez tabory. W tej chwili właśnie pluton landszturmu doprowadził tam ujętego na gościńcu osobnika, który obalił siedm słupów telegraficznych. Oddział służby wywiadowczej zawrócił natychmiast do miasta, telefonicznie znalazł sztab dowództwa w kadrze artylerji, zameldował o wyjaśnionem częściowo położeniu i natychmiast przystąpił do wstępnych badań ujętego.

Ujęty nazywa się Tomasz Skałuba, lat 30, rzym.-katol., wzrostu wysokiego, barczysty, wybitnie zdrów i muskularny, umie czytać i pisać. Podaje się za urlopowanego na dwa tygodnie żołnierza c. i k. 20 pp. Pochodzi rzekomo z jednej z tutejszych wiosek (z Jedliny, gdzie n. b. obecnie są magazyny amunicji). Do obalenia siedmiu słupów telegraficznych przyznał się odrazu, bredząc przytem zręcznie, że zrobił to— ot tak, na odmianę, na radość swoją, na jakiś hyr (dosłownie). Niewykluczone, że jest on wysłannikiem działających już i na naszym terenie terrorystów (komunistów?). Badania szczegółowe w toku.“

Generał zbladł.

— I to ja, ja musiałem dożyć takich czasów! — szeptał bezradnie, potrząsając złowróżbnym meldunkiem.

VI.

Istotnie badania szczegółowe były w pełnym toku. Tomka zamknięto w małej, wilgotnej dziurze, zwanej aresztem tymczasowym. Ledwie zdążył rozejrzyć się w tej nowej, nie-

spodzianej swej siedzibie, gdy w zamku zaharkotał klucz i do celi weszło trzech oficerów. Jednego z nich znał już Tomek. Był to oficer służby wywiadowczej, który go badał w drodze do aresztu. Z rozmowy pomiędzy nimi wymiarkował Tomek, że drugi był sędzią śledczym, a trzeci lekarzem. Lekarz mówił po polsku, więc służył i za tłómacza.

— Jak się nazywacie?

— Tomasz Skałuba.

— To już wiadome — wtrącił oficer służby wywiadowczej. — Jak się nazywa, ile ma lat, to wiadome.

— Skąd jesteście?

Tomek zaczął spokojnie opowiadać. Jego wieś rodzinna jest tuż pod miasteczkiem. Nazywa się Jedlina. Tam ma ojca i matkę, dwie siostry i brata, o którym nie wie, czy jest jeszcze w domu, czy już na wojnie. Pewnie na wojnie. On wyruszył w pole w sierpniu 1914 r., były akurat zbiórki. Pan Bóg dał ładne pogody, chleb rozmnożył się niezwykle. Pachło żytem...

— Do rzeczy, do rzeczy...

On nakładał akurat snop żyta na wóz, kiedy go wójt zapozwał. Płacz był w domu i we wsi, już mu się i tak wydało, że i te zboża i role zapłakały...

— Do rzeczy, do rzeczy...

I poszedł na tę wojnę. Zostawił ojca i matkę, dwie siostry i brata i... I tak. I ten cały miniony świat tych tu stron... Blisko trzy lata był w ogniu. Z linji nie odszedł ani razu. Nie chorował nigdy. Nawet ranny nie był, choć zdało by się to było... Przecie by choć odpoczął.

— Odznaczenia macie?

Ma. Duży srebrny medal waleczności. A jakże. Dostał i on.

— Dlaczego nie nosicie?

Zgubił. Ale kartełuszek od niego jest. Zabrał go pan sierżant przy rewizji osobistej.

— W jakim celu i za czyją namową dopuściliście się zbrodni, która was może zgubić?

Tomek spojrzał przeciągle w oczy lekarza i wzruszył ramionami. Szedł na urlop, po trzech latach... Kiedy odchodził na wojnę, były zbiórki, naród był w polach, serca płakały za nami... Trzy lata grzebał się w ziemi, trzy lata w in-

nym świecie, w obliczu śmierci. Aż dostał ten urlop. Jechał i szedł na ten urlop, na tę radość, na tę odmianę, a odmiana nie była ta, której czekał. No i poniosło go coś, poniosło samo. Siła rozprężyła się w nim i sam już nie wie, na co się ważył i co porobił.

— Panie doktorze — przerwał „kunszafter“ — jeszcze stosunek do tajnych organizacji... Może Legjony? Może POW? Może spółka szpiegowsko-terrorystyczna?

Doktór zadał Tomkowi szereg pytań o powyższym sensie. Tomek znał legjonistów, spotykał ich w polu. Dobrzy byli chłopcy i obdarci. O inszych sprawach nie umiał się wypowiedzieć. Nie zetknął się z niemi. Ksiądz kapelan wprawdzie ostrzegał ich coraz częściej przed różnemi agitacjami, co niby przez front miały dochodzić, ale on się tem nie głowił.

— Kręci — wtrącił z niemiecka po polsku „kunszafter“.

— Nie kręcę — z prostotą odparł Tomek. — Przecie i tak już wszystko jedno. Wiem, com strachu narobił...

Sędzia i lekarz parsknęli śmiechem. Oficer służby wywiadowczej spisał członków rodziny Tomka, nazwiska wójta i proboszcza Jedliny, dokładny adres polowy jego pułku i zabierał się do wyjścia, gdy Tomek — zmięszany i spłoniony — oświadczył, że ma jeszcze prośbę.

— No? To będzie najważniejsze?

Wywiadowca rozłożył papier, by dalej notować.

— W trzeciej chałupie od wójta, w Jedlinie — jąkał się Tomek — siaduje jedna Jadwisia, cośmy się mieli pobrać. Jadwisia Bielańska. Miałbym wolę widzieć ją, miałbym wolę pomówić z nią... Miałbym wolę powiedzieć jej, żeby sie dowiedziała, jak to było...

Wywiadowca zapisał adres Jadwisi, poczem wszyscy trzej odeszli.

VII.

Słowo o zgubie, słowo o śmierci, które przy badaniu padło i zostało w celi, jęło się teraz panoszyć w Tomku. Nic to ta wielkiego i strasznego ta śmierć, boć widział gęste jej pokosy w polu, ale — to było w polu, na wojnie, gdzie rządzi jej ślepe prawo. Tu zaś przyszła ku niemu jakąś dziwną drogą, jakiemiś ukrytemi dotąd szczelinami i oto stoi już przy



Wojna. H. Grombecki.

drzwiach, trzyma wartę. Przyszła tu z jakiemiś sprawami, których nie znał i nie zna. I śmieje się z niego.

I zadumał się Tomek do cna. Taką oto pociechę przyniósł ojcom z wojny, z takim to hyrem przyszedł do Jadwisi. Miął głowę, przecierał oczy i wracał myślą to ku towarzyszom wojennym, to na ojcowskie obejście, gdzie widział matkę zapłakaną i siostry dobrotliwe... Stały w zieleni drzew bezradne i słabe. Jadwisia zaś nie dawała się ująć w wyraźny kształt. Jakby coś przed nim taiła, odwracała się i nie chciała słuchać jego biednej opowieści o pełnym zdarzeń powrocie.

Tedy postanowił do niej napisać. Ostatni może list. Choćby i przyszła do niego, to nie zdąży powiedzieć jej wszystkiego...

Usiadł na wyrku, porwał zostawiony mu podstępnie papier i ołówek i zaczął zwolna ustawiać słowo obok słowa...

Do stołu siadam,
papier rozkładam.
Imieniem Marji i Jej Syna
witam sie z tobą, jedyna —
z pośród tysięcy wybrana,
wybrana i ukochana.
Z tobą sie Jadwiś witam,
o twoje zdrowie pytam,
o twoje zdrowie i powodzenie,
moje ty, moje pocieszenie...
Przez wszystkie góry i gór pagórki,
zielone łąki i białe chmurki,
przez kwiat pachnący, różę czerwoną,
leliję złotą, w halach złoconą,
przez wszystkie noce, dni i miesiące
i przez te roki, wojną krwawiące,
przez miłość, co sie sama sprawiła,
pytam, czyś jeszcze ta, coś była.

Tomek gorzał. Ręka mu się trzęsła, litery wielkie, poprzegibane na różne strony, nie umiały się łączyć w słowa, które kłębiły się w nim i rozłaziły pod ołówkiem. Chciałby był to opowiedzieć, jak go jakiś uroczny czad omamił na froncie, jak w poniewierce rozłąki, w nadmiarze trudu wojennego i okrutnej, bezlitosnej tęskności — uobraził sobie strony tutejsze i ludzi inaczej. Szedł tu ogrzać się w wiosennym śmiechu pól, w wiosennym śmiechu ludzi. I w drodze, na

stacji jakiejś, w kolei czy w karczmie — nie wie, gdzie — nie wie, kiedy — coś rzuciło na niego czary inne, coś go musiało urzec, opętać, bo obcość i ziąb witał go wszędy. Tedy chciał się odgiąć i rozprościć, nie dać się zmorze, co go przysiadła. I rozprężyła się w nim niepojęta siła i jęła broić po gościńcu.

Tomek nie pisał zdań, jeno te i owe słowa, słowa konieczne i najważniejsze, aby je potem zebrać i złożyć w sens. I już kończył, już Jadwisię przyzywał upalnie, coby przyszła i wysłuchała go i zrozumiała, gdy z poza drzwi doleciał go bezbarwny głos i żelazny chrzęst zmieniającej się warty. Wpatrzył się w drzwi i czekał, sam nie wiedząc na co, ni na kogo — aż głucha noc zapadła.

VII.

W drugiej izbie, tuż obok celi Tomka, wrzała praca od wczesnego ranka. Tomek zmiarkował z zasłyszanych słów, że o niego chodziło. Przesłuchiwano wieś — ojców, sąsiadów, wójta, wszystkich. Po jakimś czasie wszedł do celi „kundszafter" z rodzicami Tomka. Staruszkowie popłakali się rzewnie. Zbiedzeni, sterani i zahukani nawet serc odsłonić nie śmieli. Patrzyli na syna i labiedzili. Tomek całował ich po rękach i uspokajał. Po chwili zastukał wójt Jedliny i przez drzwi podał oficerowi świadectwo moralności, wystawione Tomkowi przez proboszcza. Wpadł do celi także jakiś oficer, który wręczył wywiadowcy depeszę.

— A! To z waszego pułku! — zwrócił się wywiadowca do Tomka.

Istotnie depesza była z dowództwa pułku. Mówiła ona krótko i jasno, że Tomasz Skałuba jest prawym i służbistym żołnierzem. Dowódca kompanji ręczy za niego swoją głową.

Oficer wywiadowca zgłupiał i łamaną polszczyzną jął Tomka uspakajać.

— No... może da się jeszcze coś zrobić, może się was uratuje... Ale co powie sztab garnizonu!

— Panie poruczniku, moja prośba...

Oficer dojrzał w tej chwili zapisany papier na wyrku Tomka. Pochwycił go łakomie i zaczął odczytywać. Lecz nie mogąc sobie dać z nim rady, kazał zawołać sierżanta. Ale i sierżant nie umiał odczytać i wytłómaczyć tego pisania. Wtedy zawołano Jadwisię. Malutka, zatytłana nieco

i oszarzała weszła do celi, jak zbita psina i wsunęła się w kąt koło drzwi. Tomek rzucił się ku niej. Lecz oficer odsunął go. Podał jej pisanie Tomka i kazał na głos odczytywać. Jadwisia mordowała się i stękała, zasłaniała oczy i wstydziła się, a wreszcie rozpłakała się i oświadczyła, że nie wie, czego chcą od niej.

— Co to pisanie znaczy? O co tu chodzi?—pytał oficer.

— Nie wiem, pisanie i pisanie...

— Jadwiś! — jęknął Tomek.

— Coś ty porobił, coś ty porobił? — jęła Jadwisia zawodzić już na dobre. — Co ci było do tego telegrafu?

— Jadwiś...

— Czyś go ty stawiał, czy ci zawadzał, czy co?

Pod Tomkiem zadygotała ziemia.

— Jadwiś! — zawołał na cały głos, jakby ją chciał przebudzić ze złego snu.

Ale Jadwisia, nie słuchając go i cofając się ku wyjściu, płakała rzewnie nad sobą, nad swą dolą niedobrą, nad swem daremnem, zmarnowanem czekaniem.

Wtedy Tomek rzucił się do kolan swych rodziców i obejmując je synowską miłością, załkał głuchym, bolesnym szlochem. Poczem zerwał się i podszedł do oficera.

— Opisujcie mnie dalej — prosił. — Róbcie ze mną, co trza, ino prędko, prędko. Dziś. Zaraz...

VIII.

Po wszechstronnej naradzie w sztabie garnizonu, meldunku o całem zajściu wyżej nie przesłano, a Tomka Skałubę odstawiono do jego pułku. I — sza!

Sza!

FELIKS GWIŻDŻ.

Z literatury.

PRZEGLĄD WARSZAWSKI

Rok I, Nr. I, Październik 1921, nakładem Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska".

„Przegląd Warszawski" ma być doskonalszą przemianą „Nowego Przeglądu Literatury i Sztuki". Ma to być jakoby wiek męski w porównaniu do „młodzieńczych" kroków Nowego Przeglądu. Zgoda, ale niezupełna. Bo Nowy Przegl. miał poza niektórymi brakami tę wyższość, że był naprawdę pismem literackiem, gdy Przegląd Warszawski pozuje tylko na takie dość nieszczęśliwą nowelą Małaczewskiego „Miłosierdzie ziemi". Pozatem jest Przegląd Warsz. pismem poświęconem studjom i krytyce.

Ten zaś dział jest doprawdy bogaty, mocny i dobry, zwłaszcza, że pan. Ignacy Chrzanowski nader zręcznie począł mówić o podobieństwach „Dziadów części trzeciej" a „Boską komedją", nie zaś o wpływach, które już doprawdy kością w gardle stanęły, jako że największy genjusz ulega wpływom przedewszystkiem swojej mamki i swojego smoczka, a zaś potem całej bożej natury i dopiero pod koniec zdążają bardzo problematyczne wpływy innych genjuszy. Po doskonałym artykule „O prostocie" Kołaczkowskiego, czytamy pełną głębokiej treści opowieść W. Folkierskiego o Dantem.

Prof. Łempicki, wielki znawca literatury niemieckiej, a głównie Goethego i Schillera, zagłębił się w empiryzm filozofji historji, zaś Władysław Orkan w zachwycie nad kałużą pod Puckiem, zwaną szumnie Morzem Polskiem, stworzył lepszą rzecz niż sam Puck.

Pozostaje kronika naprawdę tak bogata i wszechstronna, że aby zmusić czytelnika do kupienia Przeglądu tymczasem o niej zamilczę. *JULWIR.*

Treść zeszytu XIX-go.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwart. mk. 320. Za gran. i w Ameryce: Kwart. mk. 500 Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. mk. 20, w kraju za przes. pocz. mk. 40, zagranicą i w Ameryce mk. 60.—Cena oddzielnego zeszytu mk. 120. Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 38.

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY PLACÓWKA

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telef. 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka": WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY OKSZA GRABOWSKI, GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, ul. Zgoda 5.